Świat powieściowy.

Nr. 151 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

XIV.

Znowu tygodnie całe minęły. Chociaż marzec się zaczął, zima panowała wszechwładnie, nie tylko w górach, ale równie i w dolinie. W okolicy, a najgorzej w Werdenfels, wskutek powietrza niezwykle ostrego, mnóstwo ludzi na choroby zapalne powymierało. „Dziewica z lodu“ także w tym czasie broiła więcej złego, niż kiedykolwiek. Las pyszny, wysoko-pienny, przez komisję serwitutową gromadzie w Werdenfels przyznany, który stanowił jedyny gminny majątek, niosąc rok rocznie znaczne dochody, został przez burze i śnieżne lawiny prawie do szczętu zniszczony. Z opóźnionemi robotami wiosennemi, spóźniała się i zarobku nadzieja, a głód na przednowku dokuczał coraz bardziej.

Wieś miała wprawdzie pomoc i opiekę w każdym wypadku; proboszcza ramię dobroczynne rozciągało się nad całą jego parafją. Żadna droga nie była mu za długą i za uciążliwą, żadna ofiara za wielką, a tak słowem jak i czynem umiał zachęcić bogatszych, aby nie skąpili i dzielili się z uboższymi. Wszystko to jednak nie wystarczało, aby wzmagającej się nędzy zapobiedz radykalnie, ten jeden zaś, który miał po temu środki, mimo chęci najlepszych z jego strony, był przez wszystkich odepchnięty, a dary z rąk jego z pogardą odrzucone.

Rajmund po ostatniej próbie niefortunnej z ofiarowaniem tam i wałów ochronnych, cofnął się z wszelkiemi dobrodziejstwami, na krok jednak nie ustępując przed jawnem prześladowaniem mieszkańców w Werdenfels. Mieszkał dalej w zamku, stawiąc mężnie czoło wszelkim niegodziwościom, mnożącym się w miarę jak utwierdzało się pomiędzy ludem przekonanie zabobonne, iż przez lat tyle był spokój w dolinie, aż dopiero, gdy ten wyklęty spadł z burzą, z swojego ponurego i tajemniczego Felseneck, wszelka nędza i niedola przyszła z nim razem, i póty złe nieustanie, póki się z Werdenfels tego szatana wcielonego nie pozbędą! Raz już przecie z jego winy wieś do szczętu pogorzała!

Od najbogatszego do najbiedniejszego wszyscy w to święcie wierzyli. Nienawidzili Rajmunda, gdy do nich rękę wyciągał dobroczynną; pałali zemstą jeszcze zawziętszą, gdy cofnął się z wszelkiemi darami, unikając jak dawniej wszelkiego z ludźmi zetknięcia. Nędza i przesąd ugruntowany, choć niesłuszny, będą zawsze sędziami najmniej sprawiedliwymi. Oczy też wszystkich, po każdem nowem we wsi nieszczęśliwem wydarzeniu, zwracały się na zamek z groźbą i złorzeczeniem, jako do źródła całej niedoli.

Ogólną rozpacz w gminie Werdenfels pomnożyła wielce i ostatnia podróż proboszcza do stolicy. Nie przywiózł z tamtąd nic pomyślnego dla swoich parafian. Sprawdziły się słowa i przepowiednie inżyniera. Ksiądz Wilmut natrafiał wszędzie na trudności nieprzewidziane, nie do pokonania, przekonując się na każdym kroku, iż jeżeli panuje wszechwładnie w obrębie parafji, u władz rządowych znaczy tyle co każdy proszący, to jest mniej niż nic. Nie na wiele przydało się tym razem wstawienie biskupa. Nawet i jego ekscelencji odpowiedziano z oburzeniem, dowiedziawszy się o nieprzyjęciu ofiary wspaniałomyślnej barona Rajmunda: — „Iż wieś tak butna i zuchwała, musi być w miarę tego i bogatą, może zatem koszta wszelkie wziąć na własne barki. Rząd atoli musi mieć na oku gminy biedniejsze, i te wspierać funduszami niewielkiemi, które na cele podobne wyznaczył.“ Po nadludzkich wysileniach tyle uzyskał, iż obiecano przynajmniej raz jeszcze zastanowić się nad całą sprawą, co jednak decyzję ostateczną usuwało na czas nieograniczony.

I pani Hertenstein, której wioska do paratji w Werdenfels należała, spieszyła z pomocą energicznie, gdzie tylko tejże okazała się potrzeba. Teraz dopiero wystąpiło jaskrawo podobieństwo duchowe tych dwojga ludzi, bliskim związkiem krwi połączonych. Zimni i nieprzystępni dla wszelkich uczuć sercowych, nie dający się zepchnąć z drogi raz obranej choćby porywami najbardziej namiętnemi, skoro tego od nich dobro ludzkości wymagało, rozwijali niesłychaną czynność i siłę woli, zdolni byli do największych ofiar i najszczytniejszych poświęceń! Rzecz całkiem naturalna, że część uwielbienia dla proboszcza spłynęła teraz i na jego kuzynkę, której jedynie ksiądz Wilmut, na wszystkich z góry patrzący, wyznaczył obok siebie niemal równe stanowisko, wzywając czasem jej rady i nawet z częsta idąc za jej zdaniem.

I dzisiaj właśnie, w niedzielę, radzili nad czemś od rana samego w proboszcza kancelarji nader gorliwie. Potrzebną była pewna suma dla ubogich, a dotąd funduszów nie było, aby ją uzupełnić. Lily, która nigdy się do podobnych rozmów nie mięszała i do czego zresztą nie byliby nigdy starsi jej dopuścili, patrzyła przez okno, wybijając z nudów jakiś marsz tryumfalny na szybie. Nagle cała w pąsach stanąwszy, komuś ukłon oddała, który widocznie witał ją z ulicy i rzekła głosem stłumionym i wahającym:

— Zdaje mi się kuzynku, iż... iż... mimo tak wczesnej pory, będziesz miał gościa. Młodszy baron Werdenfels idzie tutaj.

— Paweł Werdenfels? Ależ to być nie może! — Wilmut zawołał.

Lily oczka sokole nie omyliły się jednak. Usłyszeli męzkie kroki w sieni, głos Pawła, pytający o proboszcza, i odpowiedź gospodyni, wskazującej mu kancelarję, w której Wilmut bez wyjątku wszystkich przyjmował.

— Czego on żądać może? — spytał ksiądz zdziwiony niesłychanie. — Myślałem, iż stosunki między zamkiem a probostwem nigdy się już nie nawiążą. Muszę jednak wysłuchać o co mu idzie. Proszę cię Anno, nie odjeżdżaj, póki się z nim nie uporam, co w każdym razie nie potrwa długo.

Anna wyszła do pokoju przyległego, a chociaż Wilmut drzwi przymknął starannie, ściany były tak cienkie, a rozmawiający tak od pierwszych słów niemal głos podnieśli, iż każde słowo obok słyszało się jak najdokładniej.

— Dziwi zapewne księdza proboszcza moja wizyta — Paweł wchodząc skinął lekko głową na powitanie. — Musiały też zajść wypadki nadzwyczajne, aby mnie skłonić do czegoś podobnego.

— Domyśliłem się tego — ksiądz dumnie się wyprostował, ukłon oddając, i ręką wskazał krzesło gościowi. Paweł zdawał się jednak giestu nie uważać, gdyż mówił dalej stojący:

— Stryj mój nic nie wie o tych odwidzinach. Nie byłby mi pozwolił, w obec dzisiejszych stosunków, przestąpić próg probostwa, i wyznam szczerze, że sam nie wielką miałem po temu ochotę. Dzieją się jednak rzeczy tego rodzaju, iż widziałem się zmuszony pomówić o nich otwarcie z księdzem dobrodziejem. Przychodzę żądać stanowczo, abyś ksiądz proboszcz wpłynął na swoich parafian, przemawiając za zgodą między wsią a zamkiem. Czas najwyższy dla tutejszego duszpasterza, przypomnieć sobie święty, kapłański obowiązek!

Wilmut zmierzył młodzieńca wzrokiem piorunującym od stóp aż do głowy. Nie zdarzyło mu się dotąd, aby ktoś w ten sposób śmiał do niego przemówić.

— Nie nawykłem do tego, aby mi przypominano moje obowiązki — rzekł szorstko — a najmniej stosownemi wydają mi się słowa podobne, w ustach tak młodego jak pan człowieka. Owo przemówienie, którego pan żądasz tak natarczywie, musi wyjść z ust samego barona Rajmunda. Jeżeli pragnie szczerze pokoju, potrafi znaleść drogę do niego, jeżeli zaś nie zechce, w takim razie...

— Stryj dość wiele razy podawał dłoń pojednawczą ludziom w Werdenfels — przerwał mu Paweł — a odpowiedziano obelgami na jego chęci najlepsze. Co począć w ogóle z takimi, którzy wolą znosić głód i nędzę wszelaką, którzy narażają lekkomyślnie na zagładę mienie własne, jak i mienie wsi całej, a nie chcą przyjąć pomocy, i odtrącają zuchwale rękę dobroczyńcy. Są to skończeni szaleńcy, lub też ślepe, ograniczone narzędzia, obcą dłonią kierowane.

Słowa ostatnie wymówił z naciskiem.

Wilmut słuchał oburzony lecz i zdziwiony jednocześnie. Za pierwszem widzeniem wzruszył tylko litościwie ramionami nad młodzieniaszkiem, rozmarzonym i rozkochanym w pięknej towarzyszce podróży, który wydał mu się zupełnie nic nie znaczącym. To śmiałe wystąpienie uderzyło księdza, zanadto jednak był przekonany o swojej wyższości nad młodym baronem, aby mógł mu tenże zaimponować.

— Mylisz się pan! — rzekł z powagą. — Gmina działała z własnego popędu i po dojrzałym namyśle, odrzucając ofiarowaną pomoc przez dziedzica. Prawdą jest, iż i ja objawiłem moje zdanie, że dar z takiej ręki, nie może przynieść wsi błogosławieństwa bożego, i stokroć lepiej by zrobili, ufając li własnym siłom. Mówiłem tak, jak byłem i jestem najmocniej przekonany!

— A czy odrzucenie tych darów wiele dobrego sprawiło?... Mniejsza zresztą o tę kwestję... idzie mi głównie o napaści nieustające na nas, które z dniem każdym stają się śmielszemi i groźniejszemi. Od czasu jak podrąbanie naszego cedra wspaniałego uszło złoczyńcom bezkarnie, park i ogrody są niszczone co nocy systematycznie. Wkopano się już nawet do oranżerji, a wczoraj podczas nocy próbowano napaść na stajnię i tylko czujność stangreta od nieszczęścia uratowała. Cios tym razem był zapewne skierowany przeciw *Emirowi*, wierzchowcowi ulubionemu stryja mojego. Myślę, iż ksiądz proboszcz jesteś dokładnie co do tych sprawek łotrowskich poinformowany?...

— I przypuszczasz pan zapewne, iż namawiam i pochwalam podobne nadużycia? Czyż do mnie należy ukaranie złoczyńców? Na to ma przecie baron rządcę i liczny personal służbowy! Niech śledztwo przeprowadzi, niech zażąda od władz sądowych przykładnego ukarania winnych, ja mu w tem pewno przeszkadzać nie będę!

— W tem właśnie całe nieszczęście! — Paweł zawołał — iż nie chce karać nikogo! Byłbym inaczej dawno tych łotrów wyśledził i oddał w ręce sprawiedliwości!

— Musi mieć do tego baron Rajmund słuszne powody — ksiądz zauważył lodowato — a skoro on

winnych nie pociąga do odpowiedzialności, życzył bym i panu pójść za stryja chwalebnym przykładem.

— Rajmund nie jest tchórzem! — młody człowiek wybuchnął gwałtownie. — Ileż razy go błagałem, żeby wrócił do Felseneck, gdzie jest wolny od wszelkich prześladowań i łotrostw nikczemnych, zawsze jednak prosiłem nadaremnie! Mieszka dalej w Werdenfels, patrząc śmiało w oczy niebezpieczeństwu, które z dniem każdym staje się groźniejszem, i wreszcie upór swój szalony gotów życiem przypłacić!

Wilmut wzruszył ramionami.

— Przesadzasz pan! O zasadzce na życie barona mowy być nie może! Jakiejkolwiek natury są owe wybryki i nadużycia, które — daję na to słowo kapłańskie — z góry potępiam, na osobę barona nikt by się targnąć nie ośmielił!

— Jesteś że o tem księże proboszczu tak silnie przeświadczonym?

— Jestem tego pewny!

— A ja zaś mogę na to przysięgę ofiarować, iż dwukrotnie już próbowano spłoszyć nam konie, gdyśmy z Felseneck powracali i to w miejscu najmniej bezpiecznem, na skręcie nad brzegiem rzeki. Tego zaś ranka, gdyśmy konno z gęstwiny wyjeżdżali, przeleciał nam nad głowami skały odłam potężny, rzucony ręką tak wprawną, iż gdyby nie instynkt konia cudowny, który w bok odskoczył, mógł Rajmund paść trupem z czaszką zgruchotaną! Widzi więc ksiądz dobrodziej, czem są i do czego dążą owe niewinne wybryki! Dziś rzuca się kamieniami, jutro ta sama ręka zbrodnicza kuli spróbuje i ta prawdopodobnie trafi do celu! Każdy z chłopów tutejszych strzela doskonale, i umie obchodzić się z bronią palną.

Wilmut pobladł śmiertelnie. W obec tak jawnych dowodów, iż złoczyńcy na życie barona targnąć się nawet gotowi, i on stracił krew zimną. Cofając się przerażony, niby przed widmem złowrogiem, rzekł głucho, tonem stanowczym:

— Masz słuszność panie baronie! Trzeba temu raz koniec położyć! Nie spodziewałem się, co prawda, żeby nienawiść i chęć zemsty, mogły zajść aż tak daleko! Napady podobne więcej się atoli nie powtórzą.... masz pan na to moje słowo!

— A więc mogłeś proboszczu zapobiedz tym nadużyciom — Paweł odezwał się z gorżkim wyrzutem — i dopiero teraz, w obec tak smutnych ostateczności, w obec skrytobójstwa, na ten krok się zdecydowałeś?!

Ksiądz Wilmut miał czas odzyskać całą przytomność umysłu, odparł też tonem jak zwykle lodowatym:

— Żyję w Werdenfels od lat dwudziestu, mogę zatem ocenić lepiej tutejsze stosunki, niż pan, któryś tu spędził zaledwie kilka miesięcy. Nienawiść ludu tutejszego do dziedzica, może się panu wydawać czemś potwornem, oburzającem, ja zaś widzę w niej tylko prawo odwetu, więcej nawet, bo wymierzenie sprawiedliwości na człowieku, który nie chciał uchylić czoła przed wyrokiem najsłuszniejszym. Nie pytaj się pan zatem, dla czego wcześniej nie wmięszałem się w tę sprawę, gdyż byłbym zmuszony odsłonić tajemnice, o których nie masz baronie najlżejszego wyobrażenia!

Paweł roześmiał się ironicznie.

— Proszę tylko mówić dalej! Znana mi aż nadto dobrze bajka niedorzeczna, związana z pożarem w Werdenfels! Niby to pod sekretem, tak jednak głośno powtarzają ową gadkę w całej okolicy, iż musiała obić się i o moje uszy. Nie sądzisz przecie na serjo księże proboszczu, żebym mógł uwierzyć w podobne błazeństwo?!

— Zapytaj pan tylko barona Rajmunda, skąd się wziął pożar w Werdenfels, a usłyszawszy jego odpowiedź, wolno ci nie wierzyć i drwić w najlepsze z bajek i błazeństw niedorzecznych!

Paweł zmarszczył czoło, a głos mu drżał wzruszeniem, gdy odrzekł ponuro:

— Wiem, iż w tej całej sprawie, jest jakaś wielka, straszna tajemnica, która cięży kamieniem na duszy ordynata, życie mu zatruwa i robi z niego odludka i dziwaka, jestem atoli najmocniej przekonany, iż Rajmund Werdenfels nie mógł dopuścić się czynu zbrodniczego, a kto śmie piętnować go imieniem podpalacza, jest kłamcą! Podłym, nikczemnym kłamcą! — zawołał głosem podniesionym, gdy Wilmut chciał mu wpaść w słowo. — To gotów jestem powtórzyć wszem w obec i każdemu z osobna, i na to nie potrzebuję ani pytań, ani dowodów! Znam stryja mojego!

Było coś tak śmiałego i rycerskiego w tej obronie i ujmywaniu się za honor obcy, iż Wilmut nawet nie rozgniewał się tym razem, przeciwnie przemówił tonem o wiele łagodniejszym:

— Ta ufność świadczy o szlachetności uczuć pańskich i zaszczyt mu przynosi. Żałuję z duszy, iż tejże podzielać nie mogę... porzućmy zatem przedmiot drażliwy. Jeszcze raz daję panu słowo uroczyste, iż napady na osobę ordynata więcej się nie powtórzą. Potrafię temu koniec położyć!

— Skoro ksiądz dobrodziej czujesz się wszechpotężnym, zacznij od skarcenia surowego ślepej wiary w najrozmaitsze gusta i zabobony — wtrącił Paweł podrażniony Wilmuta pełną dumy nieomylnością — od wytłumaczenia umysłom ciemnym i zbłąkanym, iż dziedzic Werdenfelsu nie jest żadnym czarnoksiężnikiem, nie zawierał paktu z szatanem, nie ma zatem na zawołanie wichrów, śnieżnych zamieci, piorunów i innych tym podobnych zjawisk w naturze! Całe Werdenfels, od najbogatszego gospodarza, do najbiedniejszego wyrobnika, gotowe złożyć na to przysięgę! Takie w pojęciach zacofanie byłoby nader śmiesznem, gdyby nie było tak smutnem i oburzającem. Jednem energicznem z kazalnicy przemówieniem, mógłby ksiądz proboszcz ukrócić tę swawolę, rozjaśnić ciemności egipskie, które lud wiejski otaczają, ale Rajmund słusznie utrzymuje, iż dla tego księża nie niszczą wiary w zabobony, aby strachem w siły nadprzyrodzone, utrzymywać prosta

*

czków w tem większej karności i ślepem posłuszeństwie.

Wilmut dumnie się wyprostował.

— Panie baronie, zdajesz się zapominać, że kapłan, pomazaniec boży, stoi przed tobą! Rajmund Werdenfels nie dobrym jest na tym punkcie przewodnikiem. Od niego nauczyłeś się pan występywania z zuchwałemi doktrynami dzisiejszych filozofów, w obec niewzruszonej w posadach odwiecznych powagi naszego kościoła, na nim atoli powinienbyś się pan również przekonać, jak smutne następstwa pociąga ze sobą odwrócenie się kościoła od grzesznika zakamieniałego i jaki skutek wywiera wykluczenie owcy zarażonej ze społeczeństwa wiernych! Nie wyzywaj mnie pan zatem do walki i nie daj Boże, żebym musiał kiedy i przeciw tobie wystąpić z całą nieubłaganą kapłana surowością!

Stał przed młodzieńcem, niby wcielenie owej niezłomnej władzy kościelnej, która żąda od każdego z wyznawców, bez różnicy stanu i znaczenia w społeczeństwie, poddania się bezwarunkowego. Paweł jednak nie spuścił oczów jasnych jak błękit nieba, przed wzrokiem księdza ponurym i przeszywającym. Odpowiedź jego brzmiała głośno i nie czuć w niej było ani cieniu bojaźni.

— Czyli, mówiąc innemi słowy, grozisz mi ksiądz proboszcz tem samem piekłem w Buchdorf, któreś mojemu stryjowi w Werdenfels zgotował? O ile groźba podobna zgadza się ze świętem kapłana powołaniem, nie moją rzeczą roztrząsać, bronić się atoli przeciw napaści wolno każdemu i to ja uczynię! Nie lękam się bicza, którym ksiądz proboszcz trzymasz w ryzie chłopów w Werdenfels i postaram się, aby mieszkańcy w Buchdorf, pozbyli się również tego strachu dziecinnego! Tych z Werdenfels, daremnie by chcieć ratować! Ci nie dadzą się już wyleczyć! W moim atoli majątku wszelkich starań dołożę, aby rozjaśnić cokolwiek umysły i w ciasne głowy wieśniaków wtłoczyć gwałtem ziarno zdrowej nauki. Widzę, jak to jest niesłychanie potrzebnem! Podejmuję zatem z prawdziwą przyjemnością rzuconą mi przez księdza proboszcza rękawicę i wypowiadam wojnę na całej linji, chroń Boże, nie przeciw prawdom odwiecznym naszej religji, tylko wojnę zaciętą z gusłami, zabobonami, przesądami, które dotąd ogłupiają lud nasz i wodzą go na pasku, niby dziecię nieletnie!

W słowach tych czuło się zuchwałą, wyzywającą butę młodzieńczą, ale brzmiała w nich również męska siła i energja, która kazała się spodziewać, iż to nie czcza przechwałka, ale chęć szczera i niezłomna, aby wkrótce słowa w czyn zamienić.

I Wilmut musiał odczuć coś podobnego, gdyż powtórnie wlepił w młodzieńca wzrok badawczy, jakby naprzód obliczał siły przeciwnika i szanse przyszłej walki. Po chwili przemówił z uśmiechem sarkastycznym i z owym spokojem lodowatym, który go nigdy nie opuszczał:

— Szczerość i otwartość godna podziwienia! Będę wiedział teraz, czego się mam spodziewać po nowym dziedzicu w Buchdorf i do tego... potrafię się zastosować! W chwili obecnej jesteś jeszcze panie baronie gościem w moim domu, bo gdyby nie ta okoliczność...

— O! proszę się bynajmniej nie żenować! — Paweł drwiąco odrzucił — odchodzę natychmiast! Jedno tylko niech ksiądz proboszcz nie zapomni swojej trzódce oznajmić. Po tem co zaszło, mam sobie za świętą powinność, nie ruszać się za próg zamku bez sześciostrzałowego, ostro bijącego rewolweru. Skoro by który z tej bandy zbójeckiej, ośmielił się zbliżyć do stryja mojego, ubiję go jak psa! Jesteśmy w stanie oblężenia, a wtedy wolno bronić życia wszelkiemi sposobami! Za czyn mój, jeżeli spełnić go na kim będę zmuszony, odpowiem przed sądem i.... przed własnem sumieniem!

Dumnie głową skinąwszy na pożegnanie, który to lekki ukłon pozostał ze strony księdza nieodwzajemniony, Paweł wyszedł z pokoju.

W sieni zatrzymał się cokolwiek, aby ochłonąć z irytacji, (jak sam przed sobą utrzymywał), wzrok jego atoli, wlepiony z tęsknotą w drzwi naprzeciw, zdradzał powód wahania i ociągania się z opuszczeniem domu tego. Wreszcie wstrząsnął głową energicznie, jakby karcąc się za tę złudną nadzieję i ku drzwiom wchodowym zawrócił.

W tej chwili drzwi naprzeciw otworzyły się i zamknęły prawie bez szelestu, ukazała się w nich figurka zgrabna i drobniutka, i Lily stanęła przed młodzieńcem, który na jej widok nie mógł wstrzymać się od lekkiego okrzyku radości.

— Pani tu! — zawołał. — Jakże pragnąłem widzieć się z tobą i bodaj słów kilka zamienić!

Lily wpatrzyła się w niego okiem promienistem, podała mu rączkę z całem zaufaniem i rzekła głosem przyciszonym, ale z głębi serca pochodzącym:

— Dzięki panie baronie! Och! dzięki stokrotne!

— Jakto? Za co? — spytał Paweł zdziwiony, co mu jednak nie przeszkodziło porwać rączkę podaną i w obu dłoniach przytrzymać.

— Za to, żeś pan raz przecie kuzynowi Jerzemu prawdy nie zataił! Na to nikt dotąd nie śmiał się odważyć i z tego powodu ma się za nieomylnego. Ależeś go pan zburczał porządnie, tak całkiem, jak on mnie morduje i łaje godzinami! To mnie cieszy, za to z serca panu dziękuję! Dawno mu się to należało, temu niepoczciwemu kuzynowi... dobrze mu tak, o dobrze!

Lily tupnęła nóżką energicznie, pięścią ściśniętą grożąc w stronę księdza kancelarji.

Było to nader dziecinne uznanie i zapatrywanie się na Pawła śmiałe wojny wypowiedzenie, był jednak tem zachwycony i spytał wesoło uśmiechnięty, całując z uniesieniem rączkę, której dotąd nie puścił:

— Pani zatem nie lękasz się mnie, mimo objawionych zasad heretyckich, mimo, iż jesteś bliską kuzynką tak surowego i prawowiernego proboszcza?!

— W naszym instytucie wychowawczym, wszyscy nauczyciele byli nadzwyczaj wolnomyślni i postępowi

— Lily z dumą odpowiedziała. — Z tego powodu Jerzy był zrazu przeciwny, żeby mnie tam umieszczać; chciał mnie koniecznie do klasztoru zapakować, Anna jednak stanowczo się temu oparła. Podzielam pańskie zdanie w zupełności! I ja nie chcę chodzić w jarzmie kuzyna Jerzego! Bierz się pan tylko do zmian radykalnych w twojem Buchdorf! Jakżebym rada panu dopomódz w przeprowadzeniu tych planów znakomitych!

— O! i jabym pragnął z duszy całej takiej pomocy! — wyrwało się Pawłowi z ust mimowolnie.

Jego drobniutka orędowniczka, nigdy mu się tak uroczą nie wydawała, jak w tej chwili, gdy z okiem pałającem a twarzyczką zarumienioną, gotowała się do buntu otwartego, przeciw władzy surowej kuzyna Jerzego.

Pochylił się ku niej, a wlepiając w nią wzrok namiętny i do głębi przenikający, spytał cicho głosem drżącym:

— Nie widzieliśmy się bardzo, bardzo długo! Czyś pani choć czasem... o mnie pomyślała?

Około ust purpurowych dziewczynki, zaigrał uśmieszek figlarny.

— Przecież pan sam o to się postarałeś! Dość często listy jego odbierałam!

— Jutro znowu napiszę! — Paweł wykrzyknął w radośnem uniesieniu. — Wyłożę pani listownie cały mój plan, co do przyszłych reform w Buchdorf, spodziewając się pocztą odwrotną odpowiedzi, przedmiot ten wyczerpującej.

W pomieszkaniu proboszcza drzwi jakieś otworzyły się i zamknęły. Lily, biorąca się do reform w Buchdorf i planów buntu przeciw Wilmutowi z taką odwagą nieustraszoną, drgnęła przerażona.

— Muszę odejść! — szepnęła. — Gdyby Jerzy nadszedł przypadkiem...

— Wtedy Boże bądź miłościw nam obojgu! — Paweł roześmiał się wesoło. — Słusznie jednak mówisz pani, dłużej i mnie zostać nie wypada. Żegnam panią z prośbą usilną, abyś raczyła o mnie choć troszkę pamiętać!

Na pożegnanie powtórnie rączki jej ucałował i wyszedł odprowadzony bardzo daleko jej tęsknem spojrzeniem.

„Pamiętaj o mnie choć troszkę!“ jak to brzmiało czule i smętnie!... i jak przytem dziwnie w oczy jej patrzał, jakby chciał serce jej na wskróś przeniknąć!

Po raz pierwszy w jej główce myśl zaświtała, iż w tym wzroku i tonie błagalnym było coś więcej, niż wylanie uczuć dla innej przed powiernicą i pocieszycielką, za którą się dotychczas uważała.

Lily przelękła się zrazu tej myśli, a serduszko zabiło tak gwałtownie, iż dłonią je przycisnęła, żeby z piersi nie wyskoczyło. Powoli jednak oswajała się z przypuszczeniem, bicie serca wprawdzie nie ustawało, ale teraz biło radością, nie ze strachu. Może istotnie Paweł uznał, iż miłość jego do Anny, nie ma przyszłości... ona zaś do siostry starszej bardzo podobna!... tak przynajmniej wszyscy utrzymują... Czemuż by on jeden nie miał tego dopatrzeć?

Z oczami spuszczonemi i twarzyczką płonącą, Lily wróciła do pokoju. Nie zastała tam już Anny, a drzwi od kancelarji były szczelnie zamknięte. Zaledwie szmer lekki słychać było, słów rozmowy atoli nie można było rozróżnić. Młode dziewczątko nie myślało też wcale tym razem o podsłuchiwaniu, tylko wielce zadowolone z samotności, wcisnęło się w kąt kanapki, tonąc w słodkiej zadumie.

Wilmut przemierzał pokój wszerz i wzdłuż, z czołem ponuro zmarszczonem, pełen troski i niepokoju, po rozmowie z Pawłem. Ujrzał nagle w młodzieniaszku lekkomyślnym, niebezpiecznego i pełnego energji przeciwnika, to zaś, co mu dawało władzę nieograniczoną nad ordynatem, nie dało się zastosować do młodego dziedzica w Buchdorf. Ten wolny od wszelkiego zarzutu, mógł śmiało wystąpić przeciw księdza władzy despotycznej, i dowiódł jawnie, iż potrafi użyć tej wolności.

Drzwi z pokoju przyległego, ruchem szybkim i nerwowym, ktoś otworzył i zamknął napowrót. Wilmut drgnął, zbudzony z głębokiego zamyślenia i zobaczył tuż przed sobą Annę, która przemówiła żywo, bez wstępu żadnego, głosem drżącym i stłumionym:

— Widzisz Jerzy, widzisz, na jakie bezdroża zaprowadziła cię ta wojna nieszczęśliwa!

— Podsłuchiwałaś nas zatem?! — Wilmut spytał tonem ostrej nagany.

— Niechcący! Rozmawialiście tak głośno, iż echo po całym domu się rozchodziło. Do tegoż więc przyszło, iż godzą na życie Rajmunda i zgładzić go podstępnie usiłują!

— Myślisz zapewne o panu na Werdenfelsie? — Wilmut odrzucił lodowato. — Skoroś wszystko dokładnie słyszała, wiesz również o przyrzeczeniu, które dałem jego bratankowi, że napaści podobne więcej się nie powtórzą!

— Gdyby to było w twojej mocy! Lękam się, iż będzie za późno!

Uśmiech dumny i pogardliwy, zaigrał około ust wąskich Wilmuta.

— Umiałem parafian moich nauczyć posłuszeństwa! Pójdą i teraz za głosem ich duszpasterza!

— A jednak tym razem ukryli przed tobą to wszystko, z czem młody baron ci donosi! Nic nie wiedziałeś, ty, który bywasz zwykle najpierw uwiadomiony o zdarzeniu najdrobniejszem, na mil dwadzieścia w około! Wywołałeś niebacznie widma straszliwe nienawiści i zemsty, pytanie wielkie, czy dadzą się teraz gołosłownie usunąć!

— Uspokój się Anno! — Wilmut zmierzył ją wzrokiem surowym. — Sama nie wiesz, co mówisz! Jeżeli istotnie grozi jakie niebezpieczeństwo ordynatowi...

— To jam temu winna! — Anna przerwała mu

gwałtownie — gdyż ja go do Werdenfels sprowadziłam!

— Ty?!...

— Tak jest, tak! i on na nieszczęście poszedł za moj radą!

— A więc taką była treść waszej w górach rozmowy? Powinienbym się był tego od razu domyśleć! Za twoim głosem, poszedłby i w piekło nawet!

— Niestety! niestety! Chciałam wyrwać go z samotności, z owego koła zaklętego marzeń chorobliwych, resztę sił jego wyczerpujących, drażniłam go i dogadywałam tak długo, aż go do kroku stanowczego pobudziłam. Sprowadził się tutaj, stawia mężnie czoło tej walce nierównej, którą tyś podniecił przeciw niemu, i gotów życie w niej postradać, bo po raz drugi z placu boju nie ustąpi... Znam Rajmunda!

Postać cała młodej kobiety, drżała namiętnem uniesieniem; w takim stanie widział ją Wilmut raz tylko, wtedy, gdy dłoń jego bezlitośna, niszczyła jej sen złoty, wydzierała jej miłość i szczęście jedyne. W jego szkole wychowana, umiała pokonywać i uciszać burzę sercem miotającą, aby nie zdradzić się z nią przed wzrokiem obcym, teraz jednak uległa tejże bez oporu. To Wilmutowi aż nadto wystarczało! Mars groźny wystąpił mu na czoło i przemówił tonem drwiącym i zjadliwym:

— Czegoż się tak unosisz? Myśl sama o niebezpieczeństwie, w którem mógł by znaleźć się ten człowiek, zmysłów cię niemal pozbawia! Uspokój się! Mogłem uwzględniać niejako nienawiść ogólną i całkiem sprawiedliwą, póki nie posunęła się do zbrodni! Skoro tak rzeczy stoją, potrafię ukrócić swawolę.

— Będziesz że w stanie zniszczyć jednocześnie zabobony i przesądy, głęboko w umysłach ludu zakorzenione? — Anna spytała z gorżkim wyrzutem. — Paweł Werdenfels słusznie zauważył, iż jest to broń potężna w twojej dłoni, ale niestety, broń obosieczna! Wpoiłeś w wieśniaków mniemanie, iż sama obecność Rajmunda w Werdenfels nieszczęście przynosi, że nawet na dobrodziejstwach z jego ręki ciąży przekleństwo! Pokrywałeś milczeniem owe bajki niedorzeczne, które przypisywały mu niemal potęgę niszczącą i złowrogą szatana! Lud głupi i ciemny myśli doprawdy, iż na szwank by naraził duszy wieczne zbawienie, gdyby przyjął dar jaki z takiej dłoni. I cóż przez to osiągnąłeś? Oto, że gromada w ślepem poddaniu się twojej woli, skazuje na zagładę wieś całą! Kto zasłoni mienie tych ludzi przed niszczącym żywiołem, jeżeli powódź nastąpi?

— Bóg, który tak długo osłaniał nas łaską swoją! — Wilmut odrzucił energicznie. — Gdy żywioły rozpasane nam grożą, w Nim ufność pokładajmy, bo On jeden ma je w swojej mocy!

— Gdzie atoli ręce ludzkie mogą skutecznie żywioł niszczący powstrzymać, nazywa się to wyzywaniem Boga, jeżeli pomoc się odtrąci... a to właśnie tyś uczynił!

— Co się to znaczy Anno? — Wilmut zerwał się w najwyższym stopniu oburzony. — Jak śmiesz w taki sposób, do mnie przemawiać? Wiesz dobrze, że nie znoszę niczyjego mięszania się w sprawy, które uznam za sprawiedliwe. Czym ci winien rachunek zdawać z czynów moich? Słucham li głosu własnego sumienia i postępuję drogą, którą ono mi wskazuje!

— A nędza i głód, rozpościerająca się w około, to odpowiedź na głos twojego sumienia, to skutki twojego uporu i zaciętości! — mówiła Anna dalej nieustraszona. — My temu zaradzić nie możemy, mimo wysileń nadludzkich, ale Rajmund mógł i chciał złemu zapobiedz! Wiesz najlepiej, dla czego miały się w zimie roboty rozpocząć, i dla czego nagle się przerwały! Teraz ludzie na twój rozkaz głodem przymierają, a cała ich gorycz i cała nienawiść zwrócona ku temu właśnie, który chciał ich w biedzie ratować! Rajmund jedynie...

— Rajmund! i wiecznie Rajmund! — przerwał jej Wilmut tonem dzikim i namiętnym. — Czyż nie umiesz już nazywać inaczej tego... tego barona z Felseneck?... Trzebaż przypomnieć ci słowo, dane mi jeszcze przed ślubem z prezydentem Hertenstein? Wszak sama wtedy powiedziałaś: „Miłość moją pokonałam i przebolałam, nic z sobą nie biorę z przeszłości idąc w przyszłość; chcę na nowo życie rozpocząć!“ Kogoż wtedy okłamywałaś, mnie, czy siebie samą?

Porwał ją za rękę z taką siłą, że aż ból uczuła. Nie wyrwała mu jednak ręki z uścisku kurczowego, i oczów nie spuściła przed jego wzrokiem piorunującym. I jej źrenice ogniem pałały, gdy patrzyła na niego bez cieniu bojaźni.

— Jeżeli tem kłamstwem starałam się oszukać samą siebie, tyś mi je gwałtem narzucił! Tak długo wmawiałeś we mnie, iż miłość moja jest występkiem, pókim wreszcie w to nie uwierzyła i nie odtrąciła Rajmunda na zawsze! Może nie byłabym tego uczyniła, może wolałabym podzielić z nim winę, podzielić los najcięższy, byle zostać przy jego boku, gdyby nie sędzia nieubłagany, który mi wiecznie i wiecznie tę winę w oczy ciskał! Myślałam wtedy istotnie, iż zrywam na zawsze z przeszłością, ale nieraz nam się zdaje, iż uczucie jakieś zabiliśmy na wieki i pogrzebali, aż póki nie przekonamy się po latach kilku, że ono nic a nic nie straciło z dawnej swojej siły żywotnej!

Jerzy zbladł śmiertelnie, podczas tych słów ostatnich. Zwolna, jakby o tem nie wiedząc, wypuścił z dłoni rękę uwięzioną, którą Anna w dół spuściła. Młoda kobieta nie zrozumiała tego ruchu mimowolnego, o krok się cofnęła i rzekła głosem drżącym, z gorżkim uśmiechem na ustach bolem drgających:

— Nie lękaj się! Czyn twój spełniony, i my na wieki rozłączeni! Nadto szeroka i głęboka przepaść nas dzieli, abyśmy mogli podać sobie przez nią ręce do zgody. Ale Rajmunda kochałam nad życie i kocham do dnia dzisiejszego. Tej miłości żadna moc ludzka nie stłumi i nie pokona, żadna wina, a nawet zbrodnia z serca nie wykorzeni. Mogłam Rajmunda opuścić, ode-

pchnąć, potępić... kochać go będę jednak po wieki wieków!

Westchnęła głęboko, jakby jej ciężar z piersi się usunął, wraz z szczerem wyznaniem. Wilmut stał przed nią skamieniały, tylko wzrokiem płonącym, zagadkowym, zdawał się na wskróś przenikać młodą kobietę, drżącą ze wzruszenia. Trudno byłoby na razie powiedzieć, co w tem spojrzeniu przeważało: czy oburzenie wskutek śmiałego Anny wyznania, czy nienawiść przeciw Rajmundowi. Było jednak złowrogie, przerażające!

Nagle dzwony się odezwały, a na pierwszy ich dźwięk Wilmut drgnął nerwowo i wzrok niespokojny skierował na kościółek w pobliżu stojący, jak by z tamtąd otrzymał upomnienie.

— Czas na mszę! — szepnął. — Jak mogłem tak się zapomnieć!

— Chciałyśmy być z Lily przy święcie dzisiejszem w kościele — wtrąciła Anna, rada widocznie, iż coś im przerwało drażliwą rozmowę — czuję się jednak dziwnie osłabioną, chorą niemal.... Czy pozwolisz mi wrócić do domu przed nabożeństwem?

— Jedź! — rzekł szorstko. — Uwalniam cię od wszystkiego!

Ton ostry dotknął młodą kobietę do żywego. Odwróciła się, odpowiadając zimno i wyniośle:

— Żegnaj mi zatem... odjeżdżam natychmiast.

Wyszła z pokoju, a on jej ręki nawet nie podał, jednem słowem grzeczniejszem nie pożegnał! Stał na miejscu, z wzrokiem w jeden punkt utkwionym, z owym dziwnym w twarzy wyrazem. Dzwony coraz głośniej się odzywały, a zwykle na ich odgłos kapłan boży porzucał wszelkie inne zajęcie, odtrącał myśli o wszystkiem co ziemskie, aby oddać się wyłącznie swojemu powołaniu, aby w skupieniu ducha spełniać święte obowiązki. I dziś nie oparł się wezwaniu; otrząsnąwszy się gwałtownie z zadumy, pospieszył do kościoła, ale w pośród jęku dzwonów, huku organów i głosów zmięszanych w kościele, dźwięczały mu ciągle w uszach owe słowa, głoskami płomienistemi w duszy zapisane: — „Mogłam Rajmunda opuścić, odepchnąć, potępić... kochać go będę jednak po wieki wieków!“

(Ciąg dalszy nastąpi).

JULIUSZ DONNÉ.

(Ciąg dalszy).

II.

W pięknym i odosobnionym budoarze, obwieszonym ciężkiemi draperjami w pałacu na Avenna d' Autin, przy świetle lampy Zuzanna zajęta była haftem, którego skomplikowany i drobny deseń, zdawał się zajmować całą jej uwagę; w rzeczywistości myśl jej była gdzieindziej, chociaż ręce zajęte tak gorliwie dobieraniem kolorów. Rozmowa jej z Juliuszem, gdyż on się tam także znajdował, rwać się zaczęła, więc na zaradzenie temu ambarasującemu milczeniu, Zuzanna wzięła się do pracy i igła szybko poruszała się w jej ręku. Juliusz, siedzący przy kominku, gorącym i ponurym ogarniał ją wzrokiem.

— Czemu pan dziś tak milczysz? — zapytała w końcu Zuzanna, złośliwe nań rzucając wejrzenie.

— A czyż mi pani pozwoli mówić to co myślę?

— Naturalnie, nic innego przecież nie mamy do roboty... o tylu rzeczach jeszcze nic mi pan nie wspomniałeś. O balu u pani Harel, o toalecie panny Aynard, a w końcu o sukcesach pańskich wobec tej panny... zapomniałam jak się nazywa, którą ojciec przeznacza panu...

— Proszę, nie drwij pani ze mnie... nie jestem usposobiony do żartów... zdolniejszy byłbym raczej do przedsięwzięcia jakiego szalonego kroku. Czyż myśli pani, że jestem szczęśliwy?

— A czemuż nie! posłuchaj mnie pan, a ułożymy we dwoje cały szereg zalet, jakie pan posiada, a zdaje mi się, pokrzywdzonym pan nie będziesz. Otóż jesteś piękny i szykowny, doskonały jeździec i jeszcze lepszy myśliwy, wykształcony, a nadewszystko inteligentny, z interesującą pewną melancholją w wyrazie... masz zatem przymioty, zdolne zawrócić głowę najwybredniejszej z dziewcząt. Posiadasz humor jednostajny, wzbudzający zazdrość u wszystkich matek, które mają córki na wydaniu, masz ojca, który cię ubóstwia, a w końcu prawdziwą siostrę w szczerze przyjaźnej panu pani Valmor! Czyż to wszystko zamało?

— Siostrę mówi pani?

— Tak, siostrę, która pana bardzo lubi...

— Która mnie lubi, powiedziała pani? — rzekł Juliusz powstając. — Tak, lubi dosyć, ale to zamało!

— Więc jakżeż mam powiedzieć, że lubi pana zanadto?

— Cóż mi po tych czczych wyrazach? Dosyć lub zanadto, wszystko to jedno! Półsłówka te, dwuznaczne nasze położenie, wszystko to mnie drażni, i proszę cię, powiedz mi raz wyraźnie, kochasz mnie lub nie?

— Juliuszu, zastanów się!

— Bo ja cię kocham, czy ty to wiesz? — mówił Juliusz nie zważając na surowy wyraz jej twarzy — kocham cię i muszę ci to raz kategorycznie powiedzieć, chociaż by to miało być po raz ostatni! Kocham cię nad wszystko, cokolwiek w życiu miałem drogiego, nie mam też myśli jednej, jednego drgnienia serca, które nie byłoby dla ciebie! Opuściłbym ojczyznę, którą przecież kocham, wszystko, bym mógł cię tylko unieść z sobą gdzieś na kraniec świata! Przez litość więc dla mnie, pozwól mi przynajmniej wypowiedzieć sobie wszystko!!

Zuzanna upuściła na kolana swą robotę i łagodnym oraz wzruszonym patrzyła nań wzrokiem.

— Przyznasz mi też — mówił dalej Juliusz — że nie zboczyłem ani na chwilę z drogi przez ciebie mi wytkniętej, byłem zawsze równie uległy i zawsze z da-

leka! Wtedy, kiedy moje serce, przepełnione miłością, o mało nie wybuchło wyznaniem, twój wzrok był w stanie mnie powstrzymać; wpatrywałem się zawsze w ciebie, by wyczytać z twych oczów czego chcieć możesz, aby do tego się zastosować; lecz w końcu, uległość ta, kompletnie wyczerpała me siły! Dłużej tak już żyć nie mogę, bo nie mając chęci do niczego, nic nie pragnę, do niczego nie dążę, a myśl moja do ciebie przykuta. Czasem sam się przerażam zdrożnych myśli, które przebiegają mój umysł, ale nie jestem w stanie nad niemi zapanować, bo straszna walka toczy się we mnie! Myśl, że pan Bóg stworzył w tobie to serce kochające, ten skarb prawdziwy, na to, by było zawsze zamkniętem i nieużytecznem, dręczy mnie formalnie... nie! bo to niepodobne... tyś także kochać powinna! Lecz nie patrz na mnie tak srogo. Pozwoliłaś mówić, teraz wstrzymać mnie już nie potrafisz, bo niema nic wznioślejszego na świecie, jak miłość prawdziwa, głęboka i wieczna! Wiesz zresztą dobrze, że taką kocham cię miłością, pomyśl więc, jak bardzo bylibyśmy szczęśliwi!

— Oh! nie, nigdy! Lepiej umrzeć chyba!... — mówiła Zuzanna patrząc osłupiałemi oczyma.

— Lepiej umrzeć mówisz? a tak, rzeczywiście, lepiej widzieć mnie ginącego z rozpaczy! Czy tak? powtórz to jeszcze raz Zuzanno! — i drobne jej ręce ściskał w swoich, starając się wzrokiem rozbroić tę dumną kobietę.

Pod takim naciskiem Zuzanna przymknęła oczy, bo odwaga ją opuszczała. Walka, która zawsze tak łatwą jej była z własnemi uczuciami, teraz przechodziła jej siły. Milczała i poiła się w duchu tym głosem tak wzruszonym i słowami temi gorącemi... pochyliła głowę i uczuła gorące tchnienie jego... lecz gwałtownym ruchem, jak przebudzona z tego upojenia, odepchnęła go od siebie, niepozwalając, by na jej czole spoczął namiętny jego pocałunek. Śmiałość Juliusza powróciła jej odwagę, otwierając oczy na cały ogrom niebezpieczeństwa! On zaś rzeczywiście przechodził katusze... Chęć przyciśnienia tej kobiety do swego łona i oddania się jej w zupełności na całe życie, czyniła go formalnie pijanym; lecz ufność Zuzanny, spokój jej, pomału do opamiętania go przyprowadzały i teraz żałować już zaczynał, że nie przyciągnął jej do siebie, pomału, łagodnie, tak jak się do portu przyprowadza łódkę po wzburzonej fal powierzchni.

W tej chwili zegar donośnym dźwiękiem wybił 5tą godzinę.

— Już piąta — rzekł Juliusz powstając. — Jest to chwila, w której otwierasz drzwi dla obcych. Żegnam cię więc! — i wyciągnął do niej rękę na znak pożegnania.

W tej chwili drzwi się otworzyły i kamerdyner wprowadził pana Donné. Zadziwienie odbiło się na wszystkich twarzach.

— Czy cię wypędzam? — zapytał pan Donné syna, zbliżając się do gospodyni.

— Nie ojcze, widziałeś przecie, że odchodzę. O piątej mam rendez-vous z jednym z moich znajomych, lecz zobaczymy się wkrótce, bo na obiad wracam do domu.

— Do widzenia więc — rzekł pan Donné, wyciągając swe skostniałe członki naprzeciw kominka, ze swobodą człowieka, który widocznie codziennym jest gościem w tym domu.

— Co to za poczciwy chłopiec ten Juliusz! — rzekł od niechcenia pan Donné.

— Rzeczywiście, taki miły i tak naturalny — wymówiła zaledwo pani Valmor, ukrywając się w cieniu firanki. — Musi też pana kochać nadzwyczajnie! — dodała jeszcze po chwili, bojąc się, by czemkolwiek nie zdradzić swego wzruszenia.

— Spodziewam się, że mnie kocha, lecz mnie staremu trudno się z tem oswoić, że Juliusz nie jest już tym Julkiem małym, z którym razem kleiliśmy obrazki, uczyli się lekcji i chodzili na spacer. Wtenczas to były prawdziwie dobre czasy, bo on był mój wyłącznie.

— To prawda, że pan lepszym byłeś dla niego od niejednej matki, lecz za to on, to prawdziwie ocenić umie!

— Tak sądzi pani?... lecz czyż dzieci oddają nam choć w części to, co myśmy dla nich zrobili?

— Przecież pan Juliusz — rzekła Zuzanna — jest teraz towarzyszem pana, prawie przyjacielem, mogącym dzielić jego uczucia i myśli...

— Zapewne, lecz przecież z porządku rzeczy, do mnie mniej należeć może. Dawniej świadomy każdej jego myśli, umiałem czytać w jego sercu jak w źwierciedle, teraz zaś chciałbym przynajmniej doczekać się szczęścia, bym dzieci jego znów mógł wychowywać i bawić. Cóż, kiedy o małżeństwie mówić sobie nie da!

Zuzanna drgnęła, a pan Donné westchnąwszy głęboko, znowu mówił dalej:

— Nie rozumiem doprawdy, co to znaczy! Nie zaniedbałem przecież niczego, coby w nim chęć do małżeństwa utrzymać mogło, lecz teraz myśl ta wydaje się być tak daleką od niego, że nietylko, iż sam nie mówi o niej, lecz na moje nalegania nie odpowiada nawet! Żebym choć miał tę pewność, że zupełnie jest szczęśliwym!

Zuzanna gorączkowo obracała w swym ręku figurki chińskie, stojące na stole, bez myśli wyciągała jedwab z sukienek pstrych, w które były ubrane i głosem jak najbardziej obojętnym odezwała się po chwili:

— Czy pan Juliusz miałby naprawdę czuć się nieszczęśliwym?

— Zdaje mi się! Dawniej tyle razy mówił mi, iż jego zdaniem niema większego szczęścia na świecie, jak w dobranem, kochającem się małżeństwie, czemuż więc go teraz zakosztować nie chce? Pani, która go widuje tak często, czy do zwierzenia nie doprowadziłaś go nigdy?

Na to zapytanie Zuzanna konwulsyjnym prawie wybuchła śmiechem, a figurka trzymana w jej ręku, pękła na dwoje.

— Nie znam nikogo bardziej skrytego od pana Juliusza! — rzekła śmiejąc się ciągle. — Jakżeż pan myśleć

nawet może, by się zdradził choć słówkiem przedemną?!

— Kiedy tak, to ostatnia moja nadzieja przepada! Trzymając prawie w ręku szczęście jego, zrezygnować z niego muszę! Przeznaczyłem mu dziewczę młode, ładne, majętne, lecz jakżeż go nakłonić?

Pan Donné zamilkł, budując z żarzących węgli ogniste piramidy. Zatopiony w swych planach, zdawał się zapominać o świecie całym, gdy raptem, jakby tknięty myślą nową, zwracając się do pani Valmor:

— A gdyby mi pani dopomogła? — zapytał.

— Jakto ja?

— A tak, Juliusz ma w pani zaufanie, może więc uwierzy pani łatwiej, że w małżeństwie szczęścia szukać trzeba?! — I zbliżając się do pani Valmor, z ręką wyciągniętą, z okiem w nią utkwionem, które więcej mówiła jak słowa:

— Czy zgodzisz się pani na to? — zapytał znowu.

Zuzanna poznała, iż tajemnica ich jest wykryta, nie odwracając więc wzroku swego, w którym gwałtowny błyszczał ogień, po chwilowym namyśle, odważnie i śmiało:

— Tak — rzekła — rzeczywiście kocham Juliusza nad wszystko w świecie, a ponieważ wzajemnością mi odpłaca, poświęcenie więc, którego pan żądasz, przechodziłoby me siły. Jakiem prawem mi go pan wydzierasz? W jaki sposób mam go panu zwrócić? O, pamiętaj pan, że jakkolwiek go kochasz, to z nas dwojga ja lepiej jeszcze kochać go potrafię!

Po tem wyznaniu biedna kobieta zamilkła, w oku jej chwilę jeszcze żar ten jaśniał, lecz wkrótce przygnębienie malować się zaczęło. Serce jej toczyło walkę z heroizmem, który zaczynał brać górę. Rzeczywiście kochała ona tak Juliusza, że nie zawahałaby się była życie poświęcić nawet, gdyby do jego szczęścia potrzebnem to było, heroizm więc tego poświęcenia więcej może jak roskosz wzajemnej miłości, nęcić ją zaczynał, i podając kolejno rekę panu Donné, wyszeptała półgłosem:

— Jeśli tylko potrafię...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NIEBEZPIECZNA.

(Ciąg dalszy)

Zatrzymała go i spytała głosem drżącym od wzruszenia:

— Czyż mam ci uwierzyć?

Teraz Raoul zdziwił się po kolei. Zmieniono role. Matylda na to rozpoczęła rodzaj spowiedzi osobistej, aby z niego wyznanie wydobyć. Nie stawiał wprost oporu, tylko prowadził dalej grę słów rozpoczętą.

— Czyż mogę mieć inne niż ty myśli? Badaj serce własne... odpowie ci zamiast mojego...

Odetchnęła głęboko, jakby jej naraz tchu zabrakło.

— Oh! gdybym tak mogła pozwolić sercu, wylać się z tem wszystkiem co czuje!...

Nagle zaczęła mówić z szybkością niesłychaną. Kobiety nerwowe, przygłuszają częstokroć słów potokiem, porywy serca zbyt namiętne.

— Smutek czy radość, zwykłam była naprzód odczuwać... Ot naprzykład powrót co wiosny jaskółek... Ileż razy odgadłam je nie widząc jeszcze... Był to niby szmer tajemniczy nad parkiem, prawie rodzaj cichej, słodkiej melodji... Następnie rysowały się na piasku kontury delikatne ich skrzydełek, coś jakby liście suche z drzew zwiane... Później dopiero przybywały te wiosny zwiastunki, w pełnym locie szybując w powietrzu. Ten szelest jednak, ta melodja, ten cień, który się żyć zdawał, czyż to nie były już one? Z częsta cień podobny w sercu odczuwałam... Spodziewałam się czegoś.... czekałam...

Listki młode, które niby puszkiem zielonym drzewa okrywały, poruszane lekkim, wieczornym powiewem, szeleściały tak roskosznie, jak najcudowniejszy hymn poślubny. W koło młodej pary panowała cisza uroczysta. Trawniki i klomby kwieciem obsypane, wydawały woń upajającą, która powoli, niby chmura z dymu kadzideł, wznosiła się coraz wyżej i pochłaniała idących. Raoul wreszcie odtajał i ruchem namiętnym przycisnął do piersi młodą kobietę.

— Na mnieś czekała?!...

Główka jej zwisła mu na ramieniu, niby lilijka złamana... Upojona, omdlewająca, szepnęła u jego ust:

— Czyż teraz dopiero o tem się dowiadujesz?

Gdy Raoul zbierał nazajutrz rozpierzchłe wspomnienia tego wieczoru poślubnego, rozpoczętego w blasku gwiazd łagodnym, wśród woni przenikających parku, który cały wiosną oddychał, nie gniewał się bynajmniej, iż poezja wzięła górę i serce zwyciężyło w nim zimny rozsądek. Wprawdzie poszedł w innym zupełnie kierunku, niż był sobie wytknął poprzednio; dążności, czysto mieszczańskiej natury, zmieniły się raptem w uniesienia nader poetyczne, tyle jednak kwiatów cudownych uszczknął na tej drodze, iż warte one były małego zboczenia.

To, czego teraz doświadczył, nie było owem uderzeniem piorunującem przy zetknięciu z nieznajomą, było uczuciem słodkiem, roskosznem, przenikającem go na wskróś powoli i łagodnie. Tak samo księżyc płynący majestatycznie po stropie niebieskim, oświetla cały krajobraz jasno, choć mniej jaskrawo, niż blask oślepiający błyskawicy. Pocałunki namiętne, zebrane na czystych i nie skalanych usteczkach Matyldy, ta niewinność, oddająca mu się bezwiednie z wiarą niezachwianą w jego wzajemność, ta miłość uświęcona prawami ludzkiemi i Boskiemi, była dla niego czemś zupełnie nowem, upajającem, jak haszisz indyjski. W uszach i w sercu dźwięczało mu wyznanie roskoszne, iż jest nie tylko wybranym, ale z dawna oczekiwanym, nie tylko miłością chwili obecnej, ale ideałem o zło-

tych skrzydłach, wymarzonym, odczutym niejako w snach młodocianych Matyldy.

Narzeczona rosła i kwitła li dla niego w cieniu zimnych murów klasztornych.

Ułuda ta łechtała nader przyjemnie jego miłość własną, na złość zamiarom, powziętym tak stanowczo, aby pozostać zimnym i niewzruszonym.

Niczego nie żałował, nic sobie nie wyrzucał, nawet tego, iż był niejako echem wiernem Matyldy, w odpowiedziach na jej pytania drażliwe, co do przeczuć magnetycznych w miłości.

Czyż w przelotnych miłostkach, ubarwiających niby rój motyli jego lata młodociane, nie zachował wzroku jasnego i spokoju niewzruszonego? Czyż to nie dowodziło, iż serce w tej grze zmysłów nie brało udziału? Był najmocniej przekonanym, iż część najlepsza jego istoty została nietkniętą, niezgwałconą, iż w sercu jest miejsce uświęcone, rodzaj ołtarza, czekającego na bóstwo czyste, prawdziwe, godne jego, że to bóstwo, gdy raz je znajdzie, bez trudu miejsce to posiędzie.

Myślał teraz w niewinności ducha, iż o mało nie wstąpiła na stopnie ołtarza, owa brunetka o wzroku płomienistym i jak ostrze stali przenikającym, z głosem dziwnie niskim, o dźwiękach metalicznych, że bądź jak bądź już był prawie na pół drzwiczki odchylił tej piękności nieznanej nikomu, do tajnego *sanctuarium* w sercu swojem. W obec cudownych czarnych źrenic Matyldy, patrzących z całą łagodnością i trwożliwością gazeli, w obec aureoli złotych pukli, otaczającej to jasne czoło, w obec postaci czystego anioła, wyszło mu z pamięci zjawienie demoniczne podczas wenty w klubie.

Przez dwa tygodnie zapomniał o tamtej zupełnie. Matylda zresztą miała różne sposoby i zręczne wybiegi, aby uchronić męża od wszelkich wspomnień, obcych ich miłości, chwyciła się, mimo niedoświadczenia, środka najskuteczniejszego: oto potrafiła zająć i wypełnić sobą wyłącznie serce i myśli Raoula. W zamku i w parku byli nierozdzielni jak cień od ciała, a jeżeli nie mówili bezpośrednio o swojej miłości, zajmowali się latami dziecięcemi Matyldy.

Opowiadała Raoulowi bez końca o cudownych przeczuciach, roztaczała przed nim barwy tęczowe marzeń poetycznych i snów złotych, pojawiających się w główkach młodych dziewcząt, mimo surowego wychowania klasztornego i otaczających je murów wysokich. Było to powtórzenie w dzień biały fantasmagorji z „Tysiąca nocy i jednej“ przez tę nową młodziutką małżonkę, która odgadła może cudownym kobiecym instynktem, iż i jej *Sułtana* uwagę trzeba czemś zająć i że nie zawadzi czarować go po trochę. Kobietki umieją nieraz tak zręcznie zapełnić przestanki pomiędzy aktami, iż częstokroć zapomni się o samem przedstawieniu.

Po uczuciu roskosznem, jakiego doznajemy, gdy przyznawszy się do winy popełnionej, otrzymujemy rozgrzeszenie z ust ukochanych, w długim, serdecznym pocałunku, nie masz dla mężczyzny nic milszego, jak powiedzieć sobie z dumą, iż oskarżał się niesłusznie. Gramy chętnie rolę wisusów przed drugimi, byleśmy zostali niewinnymi w własnem przekonaniu; lubimy uchodzić publicznie za *Don Żuanów*, byleśmy zostali wiernymi *Filomenami*, sam na sam z własnem sumieniem.

Raoul stanął na tym punkcie po dwóch tygodniach pobytu w zamku de Gouix. Odkrycia niespodziane a roskoszne, które porobił krążąc około żony, nie tylko czarowały go i upajały miłością czystą, dozwoloną i pobłogosławioną, której dotąd nie zaznał, zdawało mu się nawet, iż ta miłość podnosi wartość jego. Ta dusza tak jasna, tak przeźroczysta, służyła mu za źwierciadło, widział w niej odbitą duszę inną, której dotąd nie poznał widocznie, a która do niego należała.

— Obgadywałem się najoczywiściej!

Taką uwagę pocieszającą wypowiadał sam przed sobą o siódmej rano na terasie zamkowej. O kilka kroków od niego wychodziło niskie okno sypialni Matyldy i widać było na poduszkach batystowych, pod osłoną z koronek, jej główkę jasną, dotąd w błogim śnie pogrążoną. Nie dbała już teraz niewdzięcznica o przebudzenie się natury, na które niegdyś do dnia czyhała na wyścigi z ptaszkami. Czem dla niej było dziś słońce, przyroda ze wszystkiemi cudami, świat cały!... w obec męża najukochańszego!

Raoul zajrzał przez okno i wpatrywał się w nią długo, długo, z czułością niewypowiedzianą. Tak, bez wątpienia! Życie jego, szczęście całe, jest tam, obok tej kobiety, o której myślał, iż zaślubia ją li dla interesu, a teraz pokochał namiętnie, szalenie!

Nie pogrzebał przynajmniej swojej młodości. Przeciwnie! przesadził ją tylko w grunt urodzajniejszy, gdzie będzie bujała roskosznie. Gdzież się podziały kaprysy przelotne, miłostki bez jutra, i ta fiksacja, ta postać nieuchwytna, która męczyła go tak uporczywie? Błogosławieństwo boże przy ślubie wypędziło i zażegnało szatanów!

Kończył właśnie te budujące rozmyślania stojąc na terasie, i pełną piersią wciągał w siebie poranne, świeże powietrze, gdy nagle zadrżał na jakiś głos obcy i zobaczył przed sobą nieznanego mu człowieka.

Był to po prostu posłaniec pocztowy, łatwy do rozpoznania po czapeczce urzędowej i torbie przez plecy zawieszonej. Rzecz szczególna, iż tak nic nie znacząca istota, przestraszyła niemal Raoula, który był chwatem co się zowie, i to w chwili, gdy sumienie własne składało mu hołd, jako „najsprawiedliwszemu“ między „sprawiedliwymi.“ Był istotnie w usposobieniu wyłącznem. Rad by był zapomnieć o reszcie świata i być nawzajem przez wszystkich zapomnianym. W tych warunkach przybycie posłańca było mu nader nieprzyjemnem; stawiało przed oczy termin, do którego może o świecie zapomnieć, przywodziło na pamięć, iż szczęściu nie wolno się odosabniać, nie wolno nikomu żyć li dla siebie.

W torbie posłańca były istotnie dwa listy z Paryża; od barona do bratanka, od pani de Gouix do córki. Oto co było w liście barona:

„Kochany Raoulu!“

„Nakazałeś mi odjeżdżając: Stryjaszku napędzaj tapicerów, stolarzy, malarzy i tam dalej .. aby nim upłyną dwa tygodnie, gniazdko czekało gotowe na parkę rozkochaną.“

„Nadaję twojemu frazesowi polot poetyczniejszy, którego w nim, co prawda, nie było, należę bowiem do starej szkoły marzycieli, którzy jeszcze w miłość wierzyli, gdy wy wstrętni pozytywiści, wierzycie tylko w małpią teorję Darwina...“

„Dość na tem, iż w niespełna dni piętnaście, cudu dokonałem! Pałacyk na ulicy Courcelles gotowiuteńki, wszystko wykonane podług twoich informacji. Salon i sala jadalna wspólne; na prawo apartament pani, na lewo pana, łączą się korytarzykiem cichym, dyskretnym, wyścielonym miękkiemi dywanami i oświetlonym lampką alabastrową. Możesz mi tylko podziękować, błogosławiąc moją czynność i poświęcenie. Wsiądź na pociąg i przybywaj.“

„P. S. Będę was czekał na peronie, aby uściskać mimochodem. Odjeżdżam na Południe. Wiesz, żem tylko dla tego wyjazd odłożył, aby gniazdeczko wam wyścielić należycie. Spodziewam się, iż nie będziecie tak niewdzięczni i nie każecie mi na siebie czekać.“

„Baron de Frézel.“

Raoul skrzywił się niemiłosiernie. Wszystko to prawdą było; prosił stryjaszka najusilniej, aby przyspieszał ile możności jego instalacją w pałacyku przy ulicy Courcelles. Teraz własne jego słowa wydawały mu się kwaśnym owocem, który obrócono na deszczułce stroną nadpsutą. Tak się dzieje częstokroć i z przedawnionemi życzeniami. Raoul byłby teraz chętnie odesłał „do djabła“ pałacyk, rzemieślników, a nawet stryja, który spieszył się tak niepotrzebnie! Jak tu się jednak wymówić?... Czyż mógł odtelegrafować stryjowi, donosząc o wyniku cudownym doświadczeń patologicznych, które dokonał sam na sobie? Czyż mógł przyznać się, nie okrywszy śmiesznością, iż czując się lepszym, znajdował stan małżeński roskosznym, żonę prześliczną, a zamek w Gouix siedzibą najwygodniejszą?

Trzeba było wyrzec się miesiąca miodowego, chociaż ledwie sam rożek z niego się skosztowało. Pani de Gouix z tą samą natarczywością zapraszała Matyldę do czekającego na nich pałacyku w Paryżu.

„Dziecię najdroższe! — pisała. — Gniazdko usłane, biała gołąbka może zlecieć natychmiast... Przybywajcie dziś wieczór i wstąpcie po drodze na ulicę Lille. Lekarz nakazuje mi wyjazd do Włoch natychmiastowy, abym tam odpoczęła i siły odzyskała, po tylu trudach, trokach i wzruszeniach.“

Raoul brwi zmarszczył, list odczytując, który mu w niewinności ducha Matylda podała. Mówiąc po prostu, pani de Gouix czekała na dzieci jeszcze dziś wieczór, aby oddać im klucze od nowego pomieszkania i pożegnać jednocześnie. Jej wyjazd i podróż barona dziwnie się z sobą łączyły.

Po młodem małżeństwie i ta para starych grzeszników chciała użyć miesiąca miodowego!...

Matylda nie powinna się była domyśleć tej brudnej intrygi, jedynym atoli sposobem utajenia przed nią tego wszystkiego, było wyjechać natychmiast. Młoda kobieta okazała po temu wszelką gotowość. Może być, iż po upojeniu dni pierwszych, miłość ich wydawała jej się niejako w komornem, w zamku dotąd do matki należącym. W kochance i najbardziej namiętnej, przebija zawsze gospodyni domu, która radaby jak najprędzej wejść w wypełnianie swoich obowiązków.

Powrót był nader czuły. Raoul spostrzegł się jednak, iż jest trochę niebezpiecznie odnawiać te same sytuacje i te same wzruszenia w odstępach tak bliskich.

Porównanie w takim razie bywa zwykle niekorzystnem. W wagonie odwożącym ich napowrót, Matylda nie była już pączkiem różanym, który upajał wonią i świeżością Raoula przed dwoma tygodniami, w warunkach mniej więcej podobnych. Czar roskoszny i tajemniczy, który ją wtedy niby białą zasłoną otaczał, zmienił się w jakąś omdlałość pełną wspomnień i... zmęczenia. Otóż jeżeli piękne kochanki lubią sączyć kropla po kropli słodki nektar ze wspomnień kielicha, kochankowie podobni Raoulowi, mają pod tym względem zapał Columba. Niechętnie wracają do dawnych odkryć, tylko radziby iść ciągle naprzód. To sam na sam nie było jeszcze zimne, brakowało mu jednak ożywienia dni poprzednich.

Przywitanie z baronem ze strony Raoula miało lekki odcień sarkazmu, uściski macierzyńskie pani de Gouix grzeszyły cokolwiek przesadą. Raoul odetchnął jednak swobodniej, znalazłszy się w własnym domu. Pałacyk był prześlicznie urządzony, z dokładnością drobiazgową, którą wymawiają częstokroć starym kawalerom, a która wypływa całkiem naturalnie z ciasnego kółka, w którem zamknęło się ich samolubstwo. Że atoli w społeczeństwie nic nie przepada, i wszystko ma rację bytu, więc i samolubstwo starych kawalerów, może się czasem na coś przydać. Służba cała była na stanowisku, gotowa na państwa skinienie; kołka, jak to mówią, nigdzie nie brakło. Młoda para potrzebowała tylko rozpakować i umieścić szczęście swoje w tem gniazdku roskosznem.

Było też to pierwszem staraniem Raoula. Ucałował serdecznie Matyldę, a zostawiwszy ją w rękach usłużnej pokojowej, wybiegł cygaro wypalić na bulwarze Hausmana. Oh! tylko jedno cygarko... i kwadransik przechadzki, aby się trochę zadomowić w Paryżu.

Przyrzekł to sobie święcie Raoul na wychodnem.

Dziwnym wypadkiem znalazł się wkrótce naprzeciw kościoła Magdaleny. Stanął osłupiały naprawdę!... Przyzwyczajenie jest drugą naturą; zaprowadziło go też bezwiednie w progi klubu.

— Pójść tam? — bąknął. — Po co?... ani psa, ani kota.. wszystko się rozjechało!... Djabelne nudy o tej porze. Co za głupstwo tu się zatrzymywać.

Prawdę powiedział!... wszędzie pusto, jak wymiótł. Przy wielkim stole nikogo, przy małych jeszcze mniej.

W czytelni gruba warstwa kurzu na stosach gazet i miesięczników. Po dwóch stronach kominka jenerał bez jednego oka i pułkownik sparaliżowany, raczej dwa stare graty niepotrzebne, niż dwaj klubu członkowie.

Raoul właśnie manewrował strategicznie, aby wyminąć te dwie „starożytności", gdy zawiadowca klubu złapał go w drodze.

— List dla pana barona!

Popatrzył na adres. Istotnie list był do niego zaadresowany. Nie znał tego pisma. Było czytelne, śmiałe, litery stały w rzędzie prosto, jak żołnierze dobrze wyćwiczeni. Rozdarł kopertę... kilka wierszów zaledwie...

„Pozwól pan i mnie przyłączyć się do chóru życzeń, składanych ci z okazji zaślubin, przez przyjaciół i znajomych. Jestem tem więcej upoważnioną powinszować panu, iż zawinąłeś szczęśliwie do portu, im mniej wierzyłam w pewny wybuch sentymentów, który był widocznie tylko wyskokiem pańskiej fantazji, nadto chwilowo rozbujałej. Wszystko jest dobrem, co się dobrze kończy. Mogę sobie zatem przypomnieć bez najlżejszego wyrzutu sumienia wieczór ów, spędzony w klubie, podczas wenty!...

Na szczęście, Raoul był sam list odczytując. Bladość nagła byłaby go zdradziła przed Matyldą. Zły duch nagabywał go więc znowu, niby morza przypływ gwałtowny. Czuł jak w niego fala uderza i przenika do głębi. Więc ta kobieta jest w Paryżu, i nie objawiła swojej obecności, aż po dniu, który stanął między nim a nią zaporą niezwalczoną?

Krew w nim zakipiała. Wieczór ów majaczył mu przed oczami. Oceniał jednocześnie całą swoją niezdarność w tym wypadku. Dla czegoż lepiej nie szukał? Nie mógłże rozesłać na wsze strony agentów policyjnych, których godłem jest: pospiech — milczenie? Że też mu coś tak prostego na myśl nie przyszło? Nie byłby teraz wystawiony na odbieranie podobnego bileciku, który był zemstą i obelgą nieledwie.

Dumał długo, bardzo długo... Na kopercie była stampilja pocztowa z okręgu bulwaru Malesherbe. Wskazówka niewyraźna, może jednak posłużyć za nić przewodnią. Dodawszy do tego rysopis dokładny nieznajomej, można wysłać na szpiegi wyżłów dwunożnych.

We dwa dni później Raoul z Matyldą obiad właśnie kończyli, w obszernej sali pałacyku przy ulicy Courcelles. Młoda kobieta czuła się dotąd jakby obcą, jakby zgubioną w tej wielkiej przestrzeni.

Raoul miał gruby fałd na czole... czy z troski, czy też z niecierpliwości?... Nagle twarz mu się rozjaśniła, gdy mu lokaj podawał na tacy list w grubej kowercie z dopiskiem: „Do rąk własnych."

Rzucił tylko okiem i schował do pularesu. Zmiana jego fizjonomji nie uszła uwadze Matyldy.

— Czy co ważnego mój drogi?

Skłonił się szarmancko.

— Osądź sama kochana Matyldo... Osoba, której nie wiedziałem gdzie szukać, mając z nią do wyrównania dług honorowy, przysyła mi swój adres... Zbędę się jednego wielkiego ciężaru...

Uśmiechnęła się słodko do męża, uspokojona tonem poważnym jego odpowiedzi.

On jednak, zapatrzony w cudne, czarne źrenice Matyldy, widział w nich najdokładniej odbitą postać majestatyczną nieznajomej, ze spojrzeniem jak stal ostrem, z ustami lubieżnemi szydersko uśmiechniętemi, z łukiem brwi czarnych, z czołem dumnem i wyniosłem. W uszach dźwięczał mu szmer pereł, zmysły łechcący, a nad tem wszystkiem unosiły się dwa wiersze, głoskami płomienistemi wypisane:

„Lady Karolina, ulica de Villiers, w pałacu własnym — nazwisko nieznane."

VII.

ROZWIĄZANIE ZAGADKI.

Nazajutrz z rana Raoul de Frézel dzwonił u bramy wchodowej w pałacu na ulicy Villiers. Oskarżał się sam przed sobą, że i tak za wiele czasu stracił.

List podobny wymaga odpowiedzi natychmiastowej, jak wyzwanie.

Pałacyk wyglądał wytwornie. Dziedziniec był piaskiem srebrzystym wysypany, sztachety wyzłacane, w tyle widać było piękne drzewa, o konarach gęstych i rozłożystych. Bramę otworzyła ręka niewidzialna, bez szelestu; słychać tylko było chód przyspieszony i nerwowy Raoula, gdy po piasku dążył przed ganek. Na schodach marmurowych przyjął go lokaj w skromnej, czarnej liberji.

— Pan życzy sobie?...

— Czy milady przyjmuje barona Raoula de Frézel?

— Milady nikogo nie przyjmuje — lokaj skłonił się z uszanowaniem.

— Proszę zanieść mój bilet — Raoul wcisnął mu kartę wizytową, nie dając jeszcze za wygranę.

Znowu niski ukłon ze strony służącego.

— Jestem w rozpaczy, iż nie mogę uczynić zadość życzeniom pana barona... Rozkaz atoli pod tym względem wydany przez milady, brzmi nadto stanowczo, abym się mógł odważyć.

— Dobrze!...

Raoul zawrócił. Cóż pomoże upierać się dłużej?

Jednak irytował się okropnie tą przygodą niefortunną. Skoro wyszedł za bramę, wybuchnął gwałtownie:

— Nie chce mnie przyjąć! To jej cała zemsta! — Sprowadziła na to tylko, aby mnie wypędzić!...

Powietrze chłodne trochę mu przez drogę krew wzburzoną uspokoiło.

— Jestem szalony!... Trudno wojować z kobietą... Najlepiej o niej zapomnieć!

(Ciąg dalszy nastąpi)

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki